I 549.042

Bronisławy

145,562

Staniewicz

Felix Felixowicz Sta[illegible]

UŁAS

SIELANKA BOJOWA

Z BŁOT POLESKICH

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

WILNO 1881 r. 18 Aug

Nakład i druk Teofila Glücksberga.
Księgarza i Typografa Wileńskiego Naukowego Okręgu.

1858

Bronisławy Sterniewicz.

UŁAS

UNAS

UŁAS.

SIELANKA BOJOWA

Z BŁOT POLESKICH

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

Usiadłszy na murawie pod wierzbami w cieniu,
Pogadajmy o naszém przeszłém utrapieniu.
Wszak i jaskółki skoro na wiosnę wylecą,
Bez przestanku się głośno witając szczebiecą,
Rachując wiele żywych wiele zmarłych w wodzie;
Miło wspomnieć przypadki przeszłe na swobodzie.

Zimorowicz — Sielanka Kozaczyzna.

WILNO

Nakład i druk Teofila Glücksberga,
Księgarza i Typografa Wileńskiego Naukowego Okręgu.

1858

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 7 Października 1857 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

BIBLIOTEKA NARODOWA

I 549.042

1959 K 1187/II

JANOWI CHĘCIŃSKIEMU

NA PAMIĄTKĘ CHWIL BRATNIO Z NIM SPĘDZONYCH W WARSZAWIE

poświęca

W. SYROKOMLA.

Wilno
d. 2 Pazdziernika 1857.

CZĘSC PIÉRWSZA.

I.

Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco;
Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą:
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
Lasy ciemne i gęste jak gdyby jaskinie,
Rzeka, co między łozą, a sitowiem płynie,
Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata,
I zielony motylek co nad wodą lata,

I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
Ostrym krzykiem żórawia, klekotem bociana,
Albo pluchaniem czółna po spokojnéj fali,
Kiedy rybak z więcierzem przemknie się w oddali.

Tajemny jakiś urok w mych oczach obwiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,
Czarne podarte chatki na piasku lub mszarze,
Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,
Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,
Gdzie stérczy mała chatka nad każdą mogiłą,
Gdzie w spokojnéj mogile pomięszał się społem
Stary popiół pradziada z prawnuka popiołem.

Tu zasłonięci lasem i oblani wodą,
Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą;
Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży,

Nieprzemienił ich mowy, ni kształtów odzieży;
Żaden nowy duch wieku nieprzyłożył ręki,
By zmienić bicie serca albo takt piosenki.
Jak przed wieki nosiły Słowiańskie narody,
Takie noszą sukmany, takie same brody,
Takie same siekiery, któremi dąb walą,
Takie same cerkiewki, w których Boga chwalą,
Tak samo ich posila miód, jagła i ryba,
Nic tutaj nieprzybyło — trochę nędzy chyba.

Czasem nową piosenkę żniwiarka ukleci.
Ojciec nowe podanie opowie dla dzieci,
Co mu ze starych wspomnień po głowie się kręci,
Co się działo w téj wiosce za jego pamięci;
Drobne wspomnienia wioski lub pańskiego dworu
Dają na wieczórnicach treść do rozhoworu.
Tam przy smolném łuczywie, w wesołéj gawędzie,

Gdy chłopak wiąże siatkę, dziéwczę kądziel przędzie,
Gdy bajki pradziadowskie poczną bajać starzy,
Serce się rozkołycha i głowa rozmarzy,
Że zapomnieć tych bajań niéma żadnéj mocy,
Będziesz myśleć dni kilka i śnić kilka nocy,
Powieść smutną czy straszną nieprzestaniesz marzyć,
Musisz ją złożyć z serca, — drugiemu wygwarzyć.

Taką powieść słyszałem pomiędzy innemi
Z czasów jeszcze Francuza na tutejszéj ziemi.
Nie wszystkom w niéj spamiętał — więc przebaczcie proszę,
Jeżeli niedość wiernie na kartę przenoszę.
Niewiém nawet, czy prawda? sami doświadczycie:
Gdy wam w piersiach zadzwoni gwałtowniejsze bicie,
Gdy niechcący poczujesz jak łza oko zmywa,
To już i cała powieść musi być prawdziwa.

II.

Niewiém przez czyje grunta i w jakim powiecie,
Płynęła bystra rzeka w gęstym oczerecie;
Przez rzekę most zbutwiały na palach się chyli,
Do mostu wiedzie grobla długa na pół mili,
Wązka, usłana chróstem i pełna kałuży,
Z obu stron grzęzawisko, z obu stron las duży;
A tuż przy samym mostku, gdzie kończą się rowy,
Stała chata strzelecka w ziemi do połowy.

Padał jesienny wieczor — sciemniało w około,
Zimny był oddech niebios i pochmurne czoło;
Z pomiędzy ciemnych sosen wychylały głowę
Żółtém liściem okryte gałęzie klonowe,
A jeszcze żółtsza brzozka z osiną czerwoną,
Zdawały się płomieńmi, co nad lasem płoną.

Tęskno bywa w dni takie na duszy człowieka,
Jak gdyby cóś utracił, jakby czegoś czeka:
Widząc, jak dogorywa natura powoli,
Bolem trawki i listka i jemu cóś boli;
Czoło jego pochmurne — a myśl ciężko płynie,
Jak te szare obłoki na niebios krainie.

Dziwnie jakoś odbiła, po za chatką zblizka,
Wesoła, rozhulana piosenka myśliwska.
Ze strzelbami przez plecy jakowiś ichmoście
Wysunęli się z lasu, stanęli na moście.
Jeden wykrzesał ognia, błysło iskier kilka
Z krótkich myśliwskich lulek jakby z oczu wilka;
I cała ta gromada, ze dwódziestu może,
Piosenkami i gwarem szumiąca po borze,
Jak czarne z błót wylęgłe szatańskie postacie,
Posuwa się grobelką ku strażniczéj chacie.

III.

Tam już ogień w okienkach, bo wieczorna pora.
Na ławie siedział strzelec Ułas syn Prochora;
Czoło jego już łyse, a broda już siwa,
Mocne barki podarta siermięga okrywa,
Spina ją pas szerściany z łosiowego grzbieta,
U pasa nóż myśliwski i mała kaleta.

Na ścianie wisi czapka i barania burka,
I torba borsukowa i strzelba dwórurka,
I flasza zawieszona na lipowém łyku,
I zając dziś ubity w lesie na przesmyku.

Czarną wieśniaczą chatę od dymnego pieca,
Czerwone migające ognisko oświeca.
Widać przez drzwi otwarte, w sąsiedniéj komorze,
Krząta się młode dziéwczę lat szesnastu może.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Bieluchna lniana odzież i gorsecik siny
Uwydatniają kształty wysmukłéj dziewczyny;
Kruczy włos we dwa sploty po jéj szyi spływa,
Biała związana chusta jéj głowę okrywa;
Mały mosiężny krzyżyk błyszczy u jéj łona,
Jak serca dziewiczego od pokus ochrona.
To cały strój dziewczęcia, — nieuderza w oczy;
Lecz Bóg, co ubrał w barwę kwiat wodnéj łotoczy,
Co w czerwonéj kalinie blask rumieńca żarzy,
Większy roztoczył urok po dziewiczéj twarzy,
Nauczył czarnobrewe a pełne jéj oko,
Jak do serca ludzkiego wpijać się głęboko,
Po nad czołem rozwiesił jakąś rzewną chmurę,
Na licach ogorzałych sam roztarł purpurę,
I kazał się w téj puszczy rozwinąć najprościéj
Najpiękniejszemu z kwiatków — kwiatkowi ludzkości.

IV.

Lecz drzwi się otworzyły, i do chaty wpada
Ludzi zbrojnych strzelbami niemała gromada.
Ułas poznał ich wszystkich i sam był im znany:
To z okolicznych dworów dzierżawce i pany,
Gromada ekonomów i dworskich pisarzy,
I szlachty zaściankowéj poznał kilka twarzy.
»Co oni tutaj robią, po nocy i z bronią?
»Czy polują na wilka, albo sarny gonią?
»Lecz w teraźniejszą jesień niemasz wilków prawie,
»Niesłychać w okolicy o żadnéj obławie.
»Chyba w barciach niedźwiedzia odkryła się psota,
»Albo łoś z tamtéj strony przemknął się od błota.«
Tak sobie stary Ułas przypuszczenia tworzy,
I biedził się w swych myślach, gdzie ich spać położy,
A bacznie poglądając na ławy domowe,

Pokłonił się w pół pasa i poskrobał głowę.
— »Dobry wieczor, Ułasie!« mówił pan przybyły,
A właśnie był to dziedzic, — człowiek pełen siły,
Choć już siwego wąsa, co był czarnym zmłodu;
Miał polską taratatkę, podkasaną z przodu,
Przez plecy długą strzelbę i szpadę za pasem
(Która się po myśliwsku zowie kordelasem),
A w rękach długi oszczep jakby szedł na dzika.

Ułas badawczém okiem dziedzica przenika,
Pokłonił się raz, drugi, a potém raz trzeci,
I czekał niecierpliwie, co mu pan poleci.
— »Słuchaj — rzecze — tyś rodem z niedalekiéj wioski,
»Trafisz pewnie po nocy na Ostrów Czartowski;
»Zaprowadź nas do niego, i to zaraz, żwawo!«
Ułas podniosł na pana źrenicę ciekawą;
Niewierząc, że pan mówi przy zdrowéj pamięci,

Przeżegnał się dwa razy jakoś mimo chęci.
— »Iść na Czartowy Ostrów! a to na co? po co?
»Ani dzika ni wilka niedopatrzyć nocą;
»Zresztą, tam gniazdo wilcze nigdy się niezbierze,
»Jeżeli jest, to chyba przy Zgniłém jezierze.
»Dzięki Bogu znam puszczę.! «

— »Nie o wilku mowa.
»Ot prędko zjedz wieczerzę jeżeli gotowa,
»A na Czartowy Ostrów prowadź nas i kwita.
»Na przypadek i strzelba niech będzie nabita! «
Tak mówił groźnym głosem i w stół pięścią grzmota
Stary dworski ekonom Baltazar Kapota.
Ten był zbrojny w dwie strzelby, barczysty choć mały,
Niosł na plecach sążnistą baryłę gorzały,
A przy torbie, co zda się źwierzyna na pozór,
Miał trzy spore wędzonki i wołowy ozór.

Strzelec w koło popatrzy, ramionami wzruszy:
»Czy oni poszaleli? myśli sobie w duszy —
»Zkąd się tutaj wyrwali jakby kamień z procy?
»Jak żyję, niesłyszałem polowania w nocy!«
Pokłonił się raz jeszcze i przemówił trwożno:
»Czyż tu Wielmożnym panom nocować niemożno?
»Wygod niéma .. zwyczajnie... na to polowanie!..
»Jeden zaśnie na ławie, a drugi na sianie;
»A jutro jak zaświta, ja panów rozbudzę,
»I poszukamy wilków przy Popowéj strudze:
»Bo na Czartowy Ostrów, choćby pędzić kijem,
»Żaden wilk niezabieży, i nic niezabijem.«
Tu potężnie pochwycił za ramie Ułasa
Szlachcic suchy, sążnisty, z wąsami do pasa,
W wielkiéj czapce uszatéj i kurcie baraniéj;
Stuknął trzy razy strzelbą, oparł ręce na niéj,
I z szyderczém spójrzeniem, które miał w nałogu,

Rzecze: Ułas choć stary, a głupi jak w rogu!
»Jemu lata po głowie na wilki obława!
»Tu nie sarny, mój bracie, tu ważniejsza sprawa!
»Nie dziki, nie niedźwiedzie, lecz grubsza źwierzyna,
»Co to się na *k* kończy i na *k* zaczyna,
»Co to lata jak wicher z piką i nahajem,
»Co to wczora szumiała w karczemce pod gajem.
»Jeszcze się niedomyślasz? och, synu pastuszy!
— »Cicho, panie Walenty! ściany mają uszy!
Przerwał mu drugi szlachcic i półgłosem rzecze:
»Tu grobelka — tam lasek — uważasz, człowiecze...
»Oni idą grobelką; a my siedzim w lesie:
»Puk! puk! pięćdziesiąt kroków — toć kulka doniesie.
»A z grobelki do lasu jest błoto pod miedzą,
»Póki do nas dopadną — pierwiéj djabła zjedzą!
»Teraz już zrozumiałeś, pośpieszysz z usługą.«
Pan wziął na bok Ułasa, szeptali cóś długo;

Strzelec żegnał się krzyżem, był jak płótno blady;
Czasem się głośne słówko wyrwało z narady,
I Ułas znowu szeptał pokiwawszy głową:
— »Dzieci będą sieroty... pani będzie wdową...
»Już to my w oczeretach — niebój się jegomość,
»I dobytek schowamy i całą ruchomość,
»A w chacie u Wasila, zaraz przy jeziorze,
»To i pani z dziatkami pomieścić się może.
»Tam szatan niewytropi — niech tam żyją zdrowi;
»Ale dwór stoi pustką... dwór spalić gotowi...
»Wiadomo... czas wojenny...« I znów szepcą z cicha,
Tymczasem ktoś ze szlachty dorwał się kielicha,
Albo z myśliwskiéj flaszy haust pociągnął spory,
Trzeci zapalił lulkę, poszły rozhowory,
Rozprawiano o wojny przyczynach i skutku,
A pan ciągle z Ułasem szeptał pocichutku.
Wreszcie Ułas przed panem uklęknął przy stole:

— »Tak mi Boże dopomóż! panoczku! sokole!
»Że na Czartowy Ostrów znajdziem przechód łatwy,
»A jak oka, jak serca strzedz będziem twéj dziatwy;
»A jeśli komu powiém, gdzie wy? w jakiéj stronie?
»Niech mię piorun zabije! niech ziemia pochłonie!«
I całuje go w nogi i jak dziécko chlipie;
Pan podjął — uściskami Ułasa obsypie,
I sąsiedni panowie, i szlachta co pije,
Wszyscy hurmem się cisną chłopowi na szyje,
I w chwili rozrzewnienia, z braterskim wyrazem,
Łza chłopska i szlachecka spłynęły się razem;
A w téj łzie (o czém szlachta wątpiła od wieka,)
Był tylko jeden, wspólny pierwiastek — człowieka.

V.

Lecz na łzy niéma czasu — piérwsze kury pieją.
Wszyscy się uściskali, spłakali koleją.

Ułas nabił strzelbicę, wziął czapkę baranią,
Starą burkę myśliwską i poprzęgę na nią,
Przywdział borsuczą torbę i z ukłonem powie:
— »Temu czas, komu w drogę — ruszajmy, panowie!
»Powiodę krótszą ścieżką, co idzie pod sosną;
»Lulek w drodze niepalmy, niegadajmy głosno,
»Bo czasem kto zobaczy, czasem kto podsłucha;
»W imie Ojca i Syna i Świętego Ducha.«
Tak przeżegnawszy piersi, z odkrytemi głowy,
Poszła szlachta z Ułasem na Ostrów Czartowy.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Straszne to były czasy — syte po kolei
Łez, krwi, ognia, rozpaczy i dobrych nadziei,
Chmury wojsk szły na północ nie przerwaną smugą,
Jedna połowa świata ścierała się z drugą.
Krew lała się na polach, gdzie bój silnych wabi,
Ale krwawszemi łzami zlewali się słabi.

Smutno w Poleskich dworach i po wioskach kmieci:
Tam codzień zbrojny żołdak bezkarnie nadleci,

Pokrzywdzi siwą głowę, stodołę zapali,
Pozarzyna dobytek, i poleci daléj.
W pośledniéj straży wojska, z téj i owéj strony,
Wałęsał się bezkarnie żołnierz rozproszony:
Mignie spisa Kozacka, czy bagnet Westfala,
Mogłeś już łzy i jęki przewidywać zdala.
Z oddalonéj wioszczyny nad błotem, nad rzeką,
Wołać o sprawiedliwość — było zadaleko.
Przeklinał syn Polesia swe ojczyste drzewa,
Gdzie las jęki przytłumia, wiatr skargi odwiewa.

II.

Wszystka szlachecka młodzież w gorącym zapędzie,
Pewna, że głową mury skruszy i zdobędzie,
Że z piersi odmuruje upadłą budowę,
Niosła pod sztandar Franków i piersi i głowę.

Mało kto został doma, na roli, przy żniwie:
Czyja stodoła z ogniem poszła nieszczęśliwie,
Kogo mocniéj, żelżywiéj bicz Kozaczy dotnie,
Szedł do lasu ze strzelbą wyniszczać ich sotnie.

Nieraz synowie Donu posłani z depeszą,
Gdy przez groblę Poleską manowcami śpieszą,
Z za bagniska, z za krzaków, lub z gęstego żyta,
Gwizdnie kulka szlachecka i serca dopyta;
Lub czasem na biwaku, by odpocząć nieco,
Spisy w ziemię utkwiwszy, gdy ogień naniecą,
To jak chmura komarów szlachecka gromada
Pan Bóg wie zkąd się zjawia, na tabór napada,
I wyzywa na rękę, rozbija na głowę,
Uprowadza zdobycze i konie stepowe,
Zostawi kilka trupów gdzie walka zajadła,
I znowu znika w lasy — jakby w wodę wpadła.

III.

Oddzielone od grobli bagnami i rowem,
Uroczysko, nazwane Czartowskim Ostrowem,
Było sotniom Kozackim niebezpieczne srodze:
Gdy się długim szeregiem rozciągną po drodze,
Ztamtąd najgęstszym gradem najcelniejsze strzały
Zawsze w głowę starszyzny jakby w cel trafiały,
Jedno hasło wystrzału kilka trupów kładzie,
Stary cześnik Belina dowodził gromadzie.
Przy nim byli panowie z okolicznych wiosek:
Pan komornik Szeliga, pan chorąży Wrzosek,
Pan mostowniczy Kurdesz, pan podsędek Kościa,
I szlachta z Zajezierza, z Zabłocia, z Zamościa,
Na jéj czele chwalebnie znajomy tym stronom
Pan Baltazar Kapota z Brzozówki ekonom.

Gdzie się ta banda kryje, w błocie czy na drzewie?
Oni wiedzą o wszystkiem, a nikt o nich niewie.
Kędy ciągną bagaże, czy huf słabszy który,
Oni na kark spadają, piorunami z chmury. —
I nieustąpią z placu, niepopuszczą dłonią,
Aż nim łupy zagarną, a sotnię rozgonią.
Dzisiaj tu, jutro ówdzie: — drużyna Kozacza
Próżno za nimi pędzi, próżno las otacza,
Bo obława na szlachtę wraca bez połowu,
Kędyś się przyczaili, by wybuchnąć znowu.

Kto im dostarcza jadła i staréj gorzały?
Zkąd mają próch i kule na tak gęste strzały?
Zkąd o wojska obrótach wiedzą tak dokładnie?
Ktoś do nich, ani wątpić, przemyka się zdradnie;
Ale kto? zkąd? i kiedy? rozmaite wnioski!
Wybadywano Żydów, przetrząsano wioski,

Zawsze stracona praca — pisano do miasta
Że ta szalona szlachta jak z ziemi wyrasta.

IV.

Gdzie ich żony, ich dzieci, ich trzody z obory?
Spustoszały zaścianki, spustoszały dwory,
Czego ogień niespali, żołdak niewyniesie,
Zakopano do ziemi, zachowano w lesie;
Ale jak? gdzie? i kiedy? pytać próżna rada!
Las tutejszy tajemnic swoich niewygada.
Dumni ze swéj nad rodem szlacheckim opieki,
Osocznicy z ostępów, rybacy z nad rzeki,
Choćbyś ich poił, złocił, albo straszył władzą,
Tajemnicy swych lasów pewnie niewydadzą.

Na przepaścistych bagnach, w tajemniczym borze,
Gdzie tylko człek świadomy znaleźć ścieżkę może,

Stoi gdzie niegdzie chata okopcona czarno,
Tam się pańskie rodziny po przytułek garną,
Ztamtąd trwożliwa żona i dziécię w kolebce
Za męża i za ojca ciche modły szepce,
Tam uboga szlachcianka, śpiąc na twardém sianie,
Marzy sny niespokojne o swoim bogdanie.
Tamto ręka wieśniacza gruba ale szczera
Łzy pańskiemu dziecięciu z pod oczek ociera,
Na chwilę zaniechawszy siekiery lub pługa,
Kołysze niemowlęta lub cacka im struga,
Pociesza biedną panię, że Pan Bóg jest wszędzie,
»Wróci, wróci jegomość, wszystko dobrze będzie,
»Czarne dni utrapienia jak przyszły tak miną,
»Tylko ciągle niepłaczcie, bo oczy wypłyną,! «
Nieraz prosta wieśniaczka jak matka łaskawa,
Wypieszczonym paniętom czarny chléb rozkrawa,
Pieści ich plastrem miodu lub leśną jagodką,

A jeszcze ich przeprasza, że może niesłodko:
»Bo to państwo, wiadomo, schowane w pieszczocie;
»Gdzie u nas takie jadło? gdzie takie łakocie?
»Zamrze głodem niebożę w naszéj prostéj nędzy...
»Jedz, paniczu sokole! a wyrastaj prędzéj!
»Kiedy wyrośniesz duży, a ja będę stara,
»Rozmoczysz w pańskiém winie pszennego suchara,
»I przypomnisz o swojéj teraźniejszéj biédzie,
»I poczęstujesz babkę gdy do dworu przyjdzie!«

Tak ów naród odarty, siermiężny, wieśniaczy
Tulił na swojém łonie rodziny tułaczy.
Dni przepędzano w chatach; — gdy się wieczor szarzy
Niebezpieczny pod dachem nocleg dla nędzarzy:
Bo tu może się napad trafić niespodzianie,
Może wydać blask ognia albo psów szczekanie.
Więc się chronią do lasu, albo w kruchéj łodzi

Przewożą się za rzekę kędy nikt niechodzi.
Tam na omszonéj kępie, albo w stogu siana,
Wypoczywa rodzina znękana, spłakana;
A wieśniak czuwa przy niéj niezmrużywszy powiek,
By nienapadł żwierz jaki lub niedobry człowiek.

Czasem który ze szlachty, gdy niegrożą hufce,
Przyjdzie nocą odwiedzić rodzinę w kryjówce,
Pobłogosławi dziatwę, małżonkę pocieszy,
Łzę ukradkiem wyleje i do swoich śpieszy;
A czasem od wieśniaka spotkanego w lesie
Weźmie jaką wiadomość, do swoich zaniesie.
Tak, mimo bacznéj straży co czuwa nad drogą,
Serca się kochające porozumieć mogą;
Tak wzajemném wylaniem orzeźwia się łono
Pod strażą piersi chłopskiéj i lasów osłoną.

V.

Ale te błogie chwile nieczęsto bywały:
Czasem minie dni kilka, minie tydzień cały,
I wieści by niebyło od lasa do lasa,
Gdyby nie służba wierna starego Ułasa.
On codzień i do rodzin szlacheckich się dowie,
Codzień odwiedza pana w Czartowym Ostrowie.
Jednemu przyniosł kartkę w swéj czapce zaszytą,
Drugiemu przyniosł w torbie flaszę z okowitą
Trzeciemu smaczny tytuń w ogromnéj papuży,
Czwartemu misą jagły lub wędzonką służy.
On kupował dla szlachty próch i kule z miasta;
A chociaż go widziano, że się w lasach szasta,
Nikt niemiał podejrzenia: bo i cóż za dziwa,
Że strzelec swoje straże w ostępach odbywa?

VI.

Czasem, gdy sam podejrzeń zbytecznych unika,
Posyłał młodą córkę do bandy Cześnika.
Młoda, ale odważna wychowanka lasu,
Wszystkie jego drożyny poznała zawczasu;
Nieraz niebaczne kroki Bóg wié gdzie ją wiodą,
Gdy się zbłąka za grzybem lub leśną jagodą,
Lecz w puszczach niedostępnych pomiędzy zawały
I ona znała drzewa i drzewa ją znały:
Więc choćby zabłądziła gdzie i wąż nieprzetrze,
Zawsze trafi do domu po słońcu, po wietrze;
Rzeką popłynie w czółnie choć na koniec świata,
Po mokrych grzęzawiskach jak motyl przelata;
Niezlęknie się niedźwiedzia na barci lub w mrowiu,
A na złego człowieka ma nóż w pogotowiu.
Swobodnie plondrowała przez bór macierzysty,

Przynosząc szlachcie jadło, napoje i listy,
Nie deptanemi ścieżki — bo tam ścieżek niéma,
Lecz naprost mierząc drogę bystremi oczyma,
Drze się pomiędzy chwasty, leszczyny i ziela,
I swobodną piosenką drogę uwesela,
A ciężkie kosze z jadłem zwiesiwszy na ramie,
Szczypie kwiaty po drodze lub kalinę łamie.

VII.

Lecz wilków i złych ludzi postrach nadaremny;
Niebezpieczniejsza od nich piosnka i las ciemny:
Bo ci główkę rozmarzą, urokiem obwiną...
Strzeż się lasu i piosnek, wioskowa dziewczyno!
Lecz niebaczna Oxena sama siebie mami,
I serce gorejące drażni piosenkami:
O skrzydlatym sokole, co ma złote piórka,
O rycerzu, co gromi Tatara i Turka.

Wprawdzie téj piosnki babka nauczyła stara,
Nikt dziś niewalczy z Turkiem, niedba o Tatara;
Ale młodzi jak dzieci — niebaczni i ślepi:
Łacno się w stare słowa młoda myśl uczepi,
I postać ukochaną w myślach swego czoła
Stroi w szaty rycerza i w piórka sokoła.

Od czasu jak w te strony wojownicy przyszli,
Ma już młoda Oxena sokoła swéj myśli;
Zupełnie jak w piosence — i Jaśkiem się zowie,
Szabelkę ma przy boku, węgierkę na głowie,
Oblicze jak krew z mlékiem, i oczko się żarzy,
Brewka czarna nad okiem i wąsik na twarzy.
Tak samo jak w piosence — czarném oczkiem mami,
Tak samo jak w piosence wojuje z wrogami;
Tylko prawdziwy Jasiek tém różni się trocha,
Że piękniejszy jak w pieśni i że bardziéj kocha.

VIII.

Nie żaden wiejski chłopak myśl Oxeny draźni,
Przystrojony w promienie młodéj wyobraźni.
Ród jego jaśniéj świeci: bo to pańska głowa,
To dziedzic wsi poblizkiéj Jan z Oczeretowa.
Przyjechał strojny, zbrojny, jak rycerz do szyku,
Zupełnie jak w piosence, na wronym koniku; —
Zapukał do okienka, a ojca niebyło,
Wyszła k' niemu Oxena pod chatę pochyłą;
Zapytał kędy droga w bagniska i lasy,
Kędy cześnik odbywa z Kozactwem zapasy....
I drogę ukazała i rozpowiedziała,
I rumieńcem spłonęła wieśniaczka nieśmiała;
Prosił o szklankę wody, — podała ją żwawo,
Kryjąc twarz zapłonioną w odzieży rękawo.

Ale ukryć wzruszenie było trochę trudniéj:
Jego rumak spragniony gdy zarżał do studni,
A wiadra były ciężkie, a studnia daleka,
Więc młody rycerz-sokół — na miejscu nieczeka,
Lekko skoczył z rumaka, powiodł go na trzéli,
Ona wskazała ścieżkę aby niezagrzęźli,
I wspólnemi siłami, rumieńcem oblani,
Wywlekli wiadro wody z podziemnéj otchłani,
Rumak żłopał za czterech — lecz pańska źrenica,
Chciwiéj piła uroki dziewiczego lica,
A gdy się pożegnali gdy on ruszył drogą,
Jéj się oczy od lasu oderwać niemogą.

Cóż za dziw, że gdy ojciec iść do puszczy każe,
Zanieść jadło, odwiedzić cześnikowskie straże,
Ona tak pokraśnieje; ona tak poblednie,
I zrzuciwszy domowe odzieże powszednie,

Stroi się jak do cerkwi — próżniejsza od dzieci,
I korale zawiąże i główkę zakwieci,
A wyszedłszy do lasu na pełną swobodę.
Rozweseli piosenką swoje serce młode.
Bo tyle... tyle rzeczy kryje w głębi ducha!
Niéma komu wygadać, to choć las wysłucha...
A jakże sercu ciężko, gdy się biedna dowie,
Że niéma pana Jana w Czartowym Ostrowie!
Że pojechał na czaty, i w téj może chwili
Kozacy go zabili lub w plen pochwycili!..
Smutny powrót do domu — świat niéma uroku,
I główka pochylona i łezka na oku;
I szum lasu niemiły jak w dobie porannéj;
Jeden tylko obrazek Przenajświętszéj Panny
Zdołałby wypowiedzieć modlitwę sierocą:
Czy to serce boleje? czy lęka się o co?

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

W nocy, w odludnéj puszczy, dwa ogniska płoną,
Na drzewach smugi światła migają czerwono,
Nad lasem dym kłębami zwija się, majaczy,
Co chwila fantastyczniéj, co chwila inaczéj.
Ze słupa, co nad lasem roziskrzony dymi,
Piętrzy się smok ognisty lub orzeł olbrzymi,
Wionie skrzydłem na prawo, to znowu na lewo,
Rzuci tysiąc odblasków na pożółkłe drzewo,

Zamigoce na listkach, na badylach ziela,
Spłoszy ze snu ptaszynę i w górę wystrzela.

Z trzaskiem płonie chróst suchy na stosie ogniska,
Coraz nowemi iskry pod niebiosa pryska;
A przy żywym płomieniu jak gdyby w pożarze,
To czarne, to czerwone migają się twarze:
To szlachta cześnikowska — w niedostępnéj głuszy
Warzy strawę wieczorną i odzieże suszy,
Gwarzy o dziennych sprawach, biedzi się lub chwali,
Trąbi sobie w szklanice, i luleczki pali.

Stary cześnik Belina, do ziemi przypadłszy,
Długiém, smutném spójrzeniem na ognisko patrzy;
Ze źrenic nieruchomych, po zoranéj twarzy,
Dwie łzy spadły na wąsy — snadź boleśnie marzy.
I nie dziw; — stary Ułas wczorajszego rana

Przyniosł smutną wiadomość: że pani kochana
Po niedługiéj lecz ciężkiéj umarła chorobie,
Nawet miejsca w święconym nieznalazłszy grobie;
Że gdzieś w dzikim ostępie wędrówki tułaczéj,
Krzyżyk z jodłowych berwion jéj mogiłę znaczy;
Że się w trumnie zdawała aniołem z postaci,
Że umarła z modlitwą za męża i braci.
Nożem ta wieść przebodła biedne serce męża;
Ale Litwin-Spartańczyk boleść przezwycięża,
By widokiem swych cierpień i łez co uroni,
Nieosłabił na duchu towarzyszów broni.
Bo każdy z towarzyszów w rycerstwie ochoczém
Miał czego pożałować, miał zapłakać po czém:
Temu dóm zrabowano, temu dziatwa chora,
Temu w chłodzie jesiennym wypadła obora;
Lecz każdy krzepiąc ducha w braterskiéj gromadzie,
Na ołtarz wspólnéj sprawy swe boleści kładzie,

Myśl zasługi obraca ku domowéj strzesie,
Hardy z ofiar co poniosł lub jeszcze poniesie.

Och! wiele jeszcze przenieść, wiele jeszcze dożyć,
Wkrótce i własną głowę wypadnie położyć,
Jesień coraz chłodniejsza, las opada z liści,
Ścieśnia się dobre pole wojennych korzyści.
W lasach trudno wojować — trzeba będzie tłumno
Z wojska regularnego złączyć się kolumną;
A tymczasem głód, zimno, lub kula Kozacza,
Mogą sprawę przyśpieszyć — lecz nikt nierozpacza,
Każdy radby się chlubić hartem wojownika,
Co do myśli śmiertelnéj z rozkoszą przywyka.

II.

Senną głowę złożywszy na torbie borsuczéj;
Pan mostowniczy Kurdesz jakąś piosnkę mruczy;

A opodal na mokréj trawie rozciągnięty
Śpi suchy i sążnisty szlachcic pan Walenty;
Pan Wrzosek piecze w ogniu sarninę na rożnie,
Drobny podsędek Prościa modli się pobożnie;
A insza szlachta z boku gwarzy i broń czyści,
A wszyscy jeszcze rzezwi, a wszyscy ogniści.

Pan Baltazar Kapota wstał, pokiwał głową,
Dobył kapciuch skórzany i lulkę piankową,
Naładował potężnie, wziął z ogniska głównię,
I na pana Kurdesza spójrzawszy wymównie,
Rzekł: »Czy wyjdziem na sucho, czy zginiem w téj dziczy,
»Na dwoje babka wróży, panie Mostowniczy,
»A z mojéj *karkulacji* najwłaściwsza rada,
»Że wziąwszy się za strzelbę rzucić niewypada!«
— »A jabym z téj kryjówki drapnął pokryjomu,
»I powrócił do domu, ale niemam domu.

»Słyszę jacyś złodzieje podkradli się cicho,
»I spalili dwór cały — a bierze go licho!
»Jeszcze sobie potrafię poradzić na świecie:
»Żona z dziećmi przy siostrze w Owruckim powiecie,
»Mam w trzosie kilka groszy i mam silne ręce,
»Poprobuję dalszego szczęścia na wojence.«
Tak powiadał pan Kurdesz: »Widno jak na dłoni,
»Albo my ich splażymy, lub nas splażą oni:
»W piérwszym razie, uważasz mospanie Kapoto,
»Poleją się honory, posypie się złoto,
»A kiedy się fortuny i sławy dorobię,
»To nietaki folwarczek odbuduję sobie;
»A jeżeli zabiją — no... to się umiera,
»W ziemi i w czterech deskach najlepsza kwatera,
»Już ja dobrze w méj głowie obliczyłem skutki,
»Wiész co, panie Kapoto? napijmy się wódki!

— »*Bene dictum!* — rzekł Prościa pan podsędek Piński,
Który lubił i trochę znał język łaciński: —
»I ja waściom pomogę; a czemu? a czemu?
»Mówią: *kto się w opiekę poda panu swemu*,
»Nigdy na tém niestraci, a znowu... od śmierci
»Żaden *mortalis homo* wszak się niewywierci.
»Czyż nie lepiéj umierać na polu i z bronią,
»Niż w domowéj komorze, gdzie łzy baby ronią?
»Co na to aspanowie? *qui volet, qui nolet*,
»Bierzmy strzelbę na plecy, a za pas pistolet,
»Tak radzą wszyscy mądrzy — ot *exempli gratia!*
»Choćby i nasz pan cześnik...!!

— »Czysta *karkulacja!*—
Odpowie pan Kapota chyląc kielich do dna —
»Tylko, widzisz jegomość, sprawa niedogodna:
»Odcięli nas od wojska, nic niemasz z folwarku,

»Tu nas mogą ogłodzić, a zima na karku,
»Będziemy tutaj siedzieć podkurczywszy szyję —
»Póki słońce nadejdzie rosa oczy wyjé,
»W lesie jak rude myszy poginiemy marnie.«
—»A czy tobie nie dosyć, że masz mięso sarnie? —
Krzyknie chorąży Wrzosek nasrożywszy minę,
Odskakując od ognia kędy piekł sarninę, —
»A czy to my niewiasty, czy broń Boże szewce,
»Aby mając grankulki i proch na panewce,
»W lesie pełnym zwierzyny z głodu umrzeć żywo,
»Albo zginąć od chłodu kiedy jest krzesiwo?
»Wstydź się panie Kapoto! «

— »Tak! moi panowie! —
Zawołał pan Jan, dziedzic na Oczeretowie —
»Bać się głodu i chłodu my niemamy prawa,
»Z takimi sprzymierzeńcy jakich Bóg nam dawa.

»Patrzcie, jak wszystko dla nas poświęcić gotowi
»Nasi rybacy, strzelcy i chłopi wioskowi!
»Kiedy szczęście chybnęło na szlacheckiéj szali,
»Twardą pierś, bratnią rękę patrzcie jak podali;
»Przytulili rodziny i dobytki nasze,
»Wzięli grunta w opiekę, a trzody na paszę;
»Oni idą do miasta narażając siebie,
»Kupują proch i kule ku naszéj potrzebie.
»Panie Wrzosek, wszak smaczna twoja pieczeń sarnia?
»Panie Walenty! słodki sen, co cię ogarnia?
»Panie Prościa, dziś w boju usłużyłać kulka?
»Panie Kapota, pysznie dymi twoja lulka?
»Panie Kurdesz, aż miło po szklance gorzały?
»Ucałuj chłopską rękę! bo to chłop zuchwały
»Przekradł się przez Kozackie pikiety i czaty,
»Nielękał się niewoli lub życia utraty,
»Kupił ci twoje zbytki, przeniosł po zdradziecku,

»I rozkazał swéj córce, bezsilnemu dziecku,
»Nieść przez błota, przez lasy ciężar nad jéj siły,
»Byś miał naboj do strzelby, by twe usta piły.
»A gdy ty z jego łaski chylisz czarkę do dna,
»Może w téj saméj chwili twoja żona głodna,
»Z czarnéj ręki wieśniaczéj czarny chléb zajada.
»Ani głód, ani zimno, ani żadna zdrada,
»Niezagraża ni tobie, ni twojéj rodzinie.
»Zobaczymy, szlachcicu, kiedy groza minie,
»Czy potrafisz chłopowi wywdzięczyć się szczerze!«
— »Wedle swéj *karkulacji* każdy rzeczy bierze,
»I często rozumuje jak kulą do płota! —
Rzekł ekonom z Brzozowki Baltazar Kapota: —
»Jaśnie wielmożny panicz biedną szlachtę hasa,
»Bo sam polubił córkę starego Ułasa.
»Któż się broni wpisywać do takiego cechu?
»Cha, cha, cha! z przeproszeniem, ja sam nie bez grzechu;

»Ale choćby krzyczała cała Europa,
»Nigdy *niekarkuluję* na uczucie chłopa!«

Pan Jan spójrzał gniewliwie; lecz w téj saméj chwili
Żółtą gałąź leszczyny ktoś nad nim uchyli.
Młodzian zerwał się z miejsca zapłoniony cały,
Pochwycił pistolety co przy nim leżały,
I ruszył szybkim krokiem pod sosnę pochyłą,
I zniknął w ciemnéj puszczy jakby go niebyło.
Pan Kapota donośnym śmiechem się zakrztusi:
»*Karkuluję*, że dziéwczę w zaroślach być musi!
»Nieraz i nie sto razy — któż to wszystko zliczy?
»I my byliśmy tacy, panie mostowniczy!«

III.

— »Och! paniczu, paniczu! — mówiła do Jana
Oxena cała drżąca i łzami zalana —

»Broń Matko Poczajowska! niedopuszczaj Boże!
»Z wami jakie nieszczęście przytrafić się może!
»Codzień się przeprawiają Kozacy na łodzi,
»A Żyd arendarz z wioski wciąż do nas zachodzi,
»Pyta się o Kurdesza, o pana cześnika,
»A i o Was nieznacznie czasem napomyka.
»Pytał: jak się ten ostęp koło rzeki zowie?
»Czy wiele stogów siana w Czartowym Ostrowie?
»Że on kiedyś chciał kupić i zadatek dawał
»Cześnikowi na stogi i na lasu kawał,
»Że chciałby to zobaczyć — czy kto niewié drogi?
»Ale pod ryżym wąsem miał uśmiéch złowrogi!
»Ojciec jeszcze sam niewie, wierzyć, czy niewierzyć,
»A mnie straszno, jak gdyby piorun miał uderzyć!
»Żyda za kilka groszy gdy szatan poduszczy,
»Źle będzie... Oj paniczu! uciekajcie z puszczy!»

— »Oxeno! wkrótce chłody nastaną zimowe,
»Konie nasze za rzeką do drogi gotowe,
»I nam radzi pan cześnik, radzi pan chorąży
»Ruszyć pod Słuck, gdzie korpus Szwarcenberga zdąży;
»Z korpusu Austryaków czy siłą czy zdradą
»Łatwiéj się będzie złączyć ze swoich gromadą;
»Ale jeszcze dni kilka, tydzień, miesiąc może,
»Wypadnie nam się błąkać po tutejszym borze.
»Powiedz ojcu, niech śledzi nieprzyjaciół szlaki:
»Gdzie jest jenerał Ertel? gdzie stoją Kozaki?
»Zapoznani ze ścieżką i z każdém rozdrożem,
»Wtedy będziemy pewni gdzie zwrócić się możem.»

— »Jak to wam łatwo mówić! — Oxena odpowie —
»Za nic macie łzy drugich, za nic własne zdrowie!..
»Wy pójdziecie gdzieś daléj na żywot tułaczy,
»A nas zmoże niepokoj — ja... umrę z rozpaczy.

»Gdzie mi to wszystko przeżyć? ... Gdy przemknę oczyma,
»To mi się codzień zdaje, że Was w życiu niéma,
»I póty straszny robak biedne serce toczy,
»Póki Was niezobaczę na me własne oczy.
»A cóż ja wtedy pocznę, gdy żaden człek świeży,
»Gdy żadna wieść z obozu do nas niedobieży?
»Gdy w każdém drgnięciu serca zdawać mi się będzie,
»Że twoję pierś przeszywa śmiertelne narzędzie?
»I sama nieodgadnę, gdy mię boleść wzruszy,
»Czy błagać dla cię zdrowia, czy zbawienia duszy?

»Przeczysta Poczajowska dziewico Maryjo!
»Jak mi się głowa pali, jak mi piersi biją!
»Jak bezrozumnie marzę niby małe dziécię!
»Wszakże wy tu na zimę zostać niemożecie,
»Wszakże ojciec wyraźnie powiadał dziś rano,
»Że w każdą stronę lasu sotnię rozesłano,

»Że tu pod każdém drzewem może być zasadzka,
»Że na was w każdéj chwili uderzą znienacka,
»Że tu wasza odwaga na nic nieposłuży,
»Bo oni mają zastęp duży... bardzo duży!
»I na rany Chrystusa błaga i zaklina,
»Że tu drogi dzień każdy i każda godzina;
»Za jutro ktoż zaręczy? że dziś lepiéj może
»Dla zmyłki porozrzucać ogniska po borze,
»A sami manowcami, gdzie się chróst niepali,
»Dopadnijcie do koni, i ruszajcie daléj!
»Jedźcie... my damy na mszę, niech was Bóg zachowa!
»I tam, i tam, śmierć grozi!... biednaż moja głowa!
»Och! jak mi się w niéj kręci — jak szumi — jak pali!
»Nacoście biedne serce tak rozkołysali?
»Bez Was mi niéma świata!... dla czego? dla czego
»Myśli moje i dumki tylko do Was biegą?...
»Wiecie co? bierzcie rozbrat z wojenną gromadą,

»Wy z nami zostawajcie, a oni niech jadą.
»Niebędą nawet wiedzieć najbliżsi sąsiedzi:
»My Wam znajdziem kryjówkę gdzie nikt niewyśledzi.
»Tam przebędziecie wojnę, zachowacie życie,
»A na wiosnę do Pan Bóg do domu wrócicie!«
Tak mówiła, aż drżało jéj serce dziewczęce,
I swojego sokoła całowała w ręce.

IV.

—»Oxeno! ja cię kocham więcéj niż te boje,
»Niż własne bezpieczeństwo, własne życie moje!
»Lecz żołnierska powinność krzepkie ma ogniwa:
»Do trąby cześnikowskiéj cześć mię przykowywa!
»Zasłużyłbym na imie haniebne zbrodniarza,
»Gdybym braci opuścił gdy im cios zagraża.
»Współbraciom niedajemy rozkazów my młodzi,
»Mamy inszego wodza, cześnik nam dowodzi;

»Musiemy z naszych czynów sprawiać się przed władzą,
»Czy zostaniem, czy pójdziem jak bracia uradzą.
»A czy przyjdzie tu zostać, czy iść w dalsze boje,
»Zawsze, droga Oxeno, ty masz serce moje!
»Nietrwóż się, że otwarcie lub podstępną drogą
»W lesie na nas napadną lub w siłach przemogą.
»Niestraszna nam obelga lub więzienna klatka:
»Bo będzie bój zajadły... krwawy do ostatka, —
»I albo potrafimy przebić się z orężem,
»Albo wszyscy kolejno na placu polężem.
»Wtedy.. niedajcie trupów na żér kruczéj stypie:
»Powiedz ojcu niech kurhan nad nami usypie,
»Na wierzchołku postawcie krzyż dębowy spory,
»A jeżeli xiądz kiedy zabłądzi w te bory,
»To go przywieść na czółnie będziecie łaskawi,
»Niech mogiłę poświęci i psalmy odprawi.
»Oxeno! czego płaczesz, czego drży twa ręka?

»Czyż ciebie moje słowo zasmuca i lęka?
»Taką Bóg żołnierzowi przeznaczył już dolę!«
— »Ej! niemówcie, niemówcie, paniczu sokole! —
Odpowiedziało dziéwczę: — »Och, ja czuję trwogę!
»Ja Was przeżyć, broń Boże, niechcę i niemogę!
»Piérwiéj niech mię do grobu zakopają żywo,
»Piérwiéj niech roztrzaskają głowę nieszczęśliwą,
»Piérwiéj niechaj mię rzeka pogrąży w topieli,
»Ja niechcę, niedopuszczę byście zginąć mieli!«
I boleśnie zawodząc i łkając bez miary
Uczepiła się jego strzeleckiéj czamary;
On ją tulił do piersi — i rozpacz zbolała
Piérwszy dwojga kochanków uścisk wywołała.

V.

Ale Anioł stróż czuwał nad biciem jéj łona:
Rozdarła się na niebie chmur ciemnych osłona,

I xiężyc w całéj pełni zaświecił im w oczy.
Dziéwczę się opamięta trwożliwie odskoczy;
Młodzian myśl pieszczotliwą spędził hardo z czoła,
Wspomniał, że do oręża powinność go woła,
Ścisnął rękę Oxeny, która już niepłacze:
— »Do jutra! — rzecze zcicha — jutro cię zobaczę!
»Na dobrą czy złą dolę umacniając ducha,
»Pomódl się — czystych modłów Bóg snadniéj wysłucha!«

Rzekł — i odszedł w zarośle, gdzie ognisko pała,
Tam już połowa szlachty po wieczerzy spała,
Druga poszła na czaty. Tylko cześnik stary
Wciąż przykłada do ognia sosnowe konary,
A poglądając w płomień okiem nieruchomém,
Unosi się myślami nad dziatwą i domem,
Ponad krzyżykiem w lesie, gdzie żony mogiła,
Ostatnie pożegnanie jéj prochom posyła;

A łzę, co się wyrywa, trzymając na wodzy,
W myślach rozmawia z tymi, którzy sercu drodzy;
U dusz, które z niebiosów lepiéj widzieć mogą,
Pyta o swoje losy, o swą ziemię drogą...
Snadź z wyroków niebieskich tajemniczéj urny
Otrzymał złą odpowiedź: bo miał wzrok pochmurny,
Opatrzył pistolety i strzelbę dwururkę,
I układł się, na ramie zarzuciwszy burkę.
Nieprędko snem źrenica zasklepi się siwa,
Myśli biją do głowy, ból serce rozrywa.

Och! inaczéj śnią, młodzi a inaczéj starzy:
I pan Jan nabił strzelbę, lecz ma uśmiéch w twarzy,
Senną głowę na ziemi położył z rozkoszą,
Widma sławy, miłości nad nim się unoszą.
Jedno jutro ich czeka — przecięż sen nie jeden:
Jednemu śni się otchłań, a drugiemu eden;

Jednego myśl nurtuje w grobowéj otchłani,
Drugiego myśl na gwiazdach — mało świata dla niéj! —

A nad obudwóch głową, gdy ognisko zgasło,
Puhacz siedząc na dębie jedno śpiewał hasło,
Takie smutne, szydercze przepowiednie miota,
Że aż ze snu się ocknął Baltazar Kapota,—
Na głos kierując strzelbę, palnął gdzieś na lewo;
Ale puhacz na drugie przeleciawszy drzewo,
Znów chychotem i jękiem zagrzmiał na pustkowie,
Aż uczuł pan Baltazar, że go przeszło mrowie,
I mruknął: „Brzydka sprawa! cóś oczy niedrzemią,
»*Karkuluję*, że jutro spać będę pod ziemią!«
Wziął pistolet i prochu podsypał na zapał,
Przeżegnał się, poziewnął.. i twardo zachrapał,

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

Ciężkim jest biczem Bożym obłożna choroba, —
Gdy się Bogu doświadczyć człowieka spodoba,
I mędrca, co brał niebo myślami śmiałemi,
I rycerza, co władzę rozciągał po ziemi,
Złoży w pościel niemocy — i nad głową rzecze:
»Tyś przed obliczem Mojém garść prochu, człowiecze!«

Lecz gdy bohatér świata boleje bezwładnie,
Kiedy miecz albo pióro z ręki mu wypadnie,

Tłoczy się u węzgłowia lekarzów gromada,
Każdy o jego zdrowie niespokojnie bada;
A co tylko natura albo ludzka sztuka,
Na ulgę cierpiącemu stworzy lub wyszuka,
Niczego mu troskliwość usłużna nieszczędzi,
By do walki ze śmiercią więcéj miał narzędzi.

Kiedy na twardéj ławie, u swéj czarnéj ściany,
Legnie łazarz wioskowy boleścią złamany,
Niéma dla jego głowy pieszczot ni wygody,
Niéma dla ust spragnionych nic krom szklanki wody,
Nic krom garsteczki ziela, które dla nędzarzy
Stara wioskowa wróżka zbierze i uwarzy.
Nauka się nietroszczy, czy choremu lepiéj,
Litość lepszym pokarmem sił mu niepokrzepi,
A jęk, który wywodzi żona nieszczęśliwa,
Jeszcze nową boleścią serce mu przeszywa.

Więc swą duszę i ciało polecając Bogu,
Kuli się biedny łazarz w słomianym barłogu;
Nawet jękom niedaje szerzyć się dowoli,
Aby drudzy niezgadli, że go bardzo boli;
Zahartowawszy siły w cierpienia kielichu,
Toczy walkę ze śmiercią mężnie i pocichu.

II.

Ułas, stary suchotnik, łamie się z chorobą,
Chciałby własne cierpienia utaić przed sobą;
Czuje, że niezapobiedz kiedy śmierć Bóg naszle,
Czuje, że cząstkę życia coraz to odkaszle.
Chciałby się jednak zerwać i pobiedz na zwiady,
Służyć potrzebom zbrojnéj tułaczéj gromady;
Lecz siła potężniejsza od żarliwéj woli,
Już mu pono z posłania powstać niedozwoli.

III.

I dotkliwie już czują zaparci w swéj cieśni
Nieobecność Ułasa ochotnicy leśni.
Wprawdzie codzień Oxena stroskana, wybladła,
Niesie im trochę w koszu napoju i jadła,
Albo jakąś niedobrą wiadomość popłochu,
Lecz ni funta ołowiu, ani garści prochu:
Bo Ułas, który w mieście podejrzeń niebudzi,
Niemógł wywlec się, kupić, spytać miejskich ludzi,
Kędy wojska przechodzą? co słychać na świecie?
Jaka sotnia Kozaków lata na pikiecie?

IV.

Bez pomocy Ułasa jak bez rąk drużyna
Już naprawdę upadać na duchu poczyna.
Cześnik się niepokoi nad wojskiem Kozaczém,

Chorąży chce do domu powracać cichaczem,
Pan Jan cóś pochmurnemi pogląda oczyma,
Pan Walenty w rozpaczy, że gorzałki niéma;
A Baltazar Kapota uroczyście mówi:
— »Już to zła *karkulacja* zawierzyć chłopowi!
»Służył nam, póki sądził, że fawory zyska,
»A teraz jak wilk jaki przytulił uszyska.
»Ho, ho! znam ja oddawna starego Ułasa!
»Niedarmo ma łysinę i brodę do pasa:
»Jak źle o naszéj sprawie nasłucha się w mieście,
»*Pokarkuluje* sobie... i zdradzi nareszcie.
»Ho! gdy będę dowody mieć fundamentalne,
»Jak Pana Boga kocham, w łeb chamowi palnę!«

V.

A Ułas nieprzytomny miota się w chorobie,
I swoje zaniedbanie sam wyrzuca sobie,

Całkiem upadł na siłach, pobledniał na twarzy.
Przy nim stara znachorka jakieś zielsko warzy,
Sama czuwa nad życiem starca suchotnika:
Bo Oxena do lasu często się wymyka,
Chce ojca uspokoić, chce pocieszyć pany,
Dowiedzieć się czy żyje sokół ukochany.
Ale dobre jéj chęci k' niczemu niewiodą:
Tylko że rozpłomienią wyobraźnię młodą,
Tylko że dobrzy ludzie, co pojąć nie w stanie,
Okryli potwarzami jéj czyste kochanie,
Tylko w cerkwi w niedzielę kiedy łzy jéj biegą,
Kiedy sercu tak pilno westchnąć za lubego,
Sąsiadki źle tłómaczą modlitwę sierocą,
Starsze się odwracają, a młódsze chychocą.

VI.

O chorym zapomnieli pobliżsi sąsiedzi;
Tylko dobry arendarz czasem go odwiedzi,
Po staréj znajomości flaszkę mu przyniesie,
Zapyta od niechcenia co tu słychać w lesie?
Czy niewie co o panach? czy słyszał strzelanie?
Bo wczora była bitwa przy starym Majdanie;
Że to dziwna u szlachty do bitew ochota,
Że umieją tak zręcznie kryć się między błota,
Że nic ich nieprzestrasza Kozactwo co hasa, —
I znowu pełną czarką przepił do Ułasa.

Starzec nie w ciemie bity milczeniem go zbywa,
Kiedy trzeba potwierdzić, to głową pokiwa,
Kiedy trzeba zaprzeczyć to potrzęsie brodą:
»Bóg ich wie te manowce co po lasach wiodą!

»Oni lepiéj znać muszą — a mnie co za sprawa?
»Kilka mil saméj puszczy!... sił mi niedostawa,
»Włóczyć się po bagniskach, liczyć suche drewna.
»Ja tu chodzę gdzie bliżéj, gdzie żwierzyna pewna;
»Tam daléj niemasz gniazda wilków i niedźwiedzi,
»Na Czartowym Ostrowie słyszę djabeł siedzi!
»Prawdę mówiąc... ja czarta niewidziałem z rodu,
»Ale od starych ludzi słyszałem zamłodu,
»Że tam obóz szatanów był w saméj istocie,
»Co nieraz fury Żydów zatapiali w błocie!«
Tak opowiadał Ułas a na twarzy staréj
Grał uśmiéch w pół szyderstwa a w pół dobréj wiary.

VII.

— »Na co to żartowanie? — odpowie Żyd chytrze —
»Ja byłem na jarmarku na świętym Dymitrze,

»I słyszałem od Żydka, co nigdy niekłamie,
»Że Ułas proch i kule zakupował w kramie,
»I jeden raz i drugi — i to bardzo dużo;
»A wszakże proch i kule do strzelania służą!
»A na co waść przedawał Kozacką kapotę?
»A na co waści tytuń funt po cztery złote?
»A na co się waszmości stare wino przyda?
»Waść mądry! a głupiego nieoszukasz Żyda!...
»Niema się czego strachać: ja tak mówię — w żarcie
»Teraz wypijmy wódki i mówmy otwarcie.

»Waćpan dostarczasz szlachcie i chleba i soli;
»A jaki z tego profit? oni teraz goli,
»Ich dwory popalone zabierze kto inny,
»Prędzéj, późniéj Kozaki zdusić ich powinny,
»Obejdą się i bez nas; — a teraz mój bracie,
»Chcą za każdą ich głowę płacić po dukacie,

»A tam u nich dwadzieści i jedna jest głowa,
»Będzie połowa dla mnie..., dla waści połowa.
»Ja w ten moment Kozaków sprowadzić tu mogę,
»Waść na Czartowy Ostrów pokażesz im drogę;
»Jak oni poczną strzelać, my nietracąc czasu,
»Wziąwszy nasze dukaty uciekniem do lasu, —
»Ot tak się utrze rogi szlacheckiéj powadze!
»A co, Panie Ułasie, czy ja dobrze radzę?«...

VIII.

Ułas chciał cóś wykrzyknąć, aż mu rwie się dusza;
Lecz kaszel suchotniczy starą pierś zakrztusza.
Kaszlał długo, boleśnie — wreszcie oddech złowi,
I zerwał się z pościeli, podbiegł ku Żydowi;
Oczy mu zaświtały, krwią nabiegły żyły,
Dzielnie się wyprostował jego kark pochyły;

A ująwszy maczugę, co przy piecu sterczy,
Posypał grad pocisków na grzbiet przeniewierczy.
Żyd się zwija i krzyczy i złością się pieni,
Aż pchnięty silną ręką wyleciał do sieni,
I krzyczał uciekając w strachu i zapale:
— »No! ja cię zabić każę! ja ci chatę spalę!
»Ja tobie... no, zobaczysz!! gwałtu! gwałtu! ludzie!«

Ale Ułas niesłyszał wysilony w trudzie:
Nim nadbiegła Oxena i znachorka stara,
Leżał blady, milczący, jak śmiertelna mara;
I gdyby nie tak straszno przewracał oczyma,
Gdyby nie ciężki oddech, co mu piersi wzdyma,
Rzekłbyś, że nitka życia wątła i zbolała
W ostatniém wysileniu już się potargała.
Zanieśli go na ławę, — on spójrzeniem miota,
Zresztą zdołał przemówić: »Judasz Iskarjota!«

IX.

Żyd ziścił swoje groźby. W parę godzin może
Łoskot końskich kopytów zatętnił na dworze,
Zabrzęczały szablice, zamigały piki,
I krzyk zatrząsł ścianami przeciągły a dziki.
Ktoś jeden głośniéj krzyknął, i w téj saméj chwili,
Kozacy Ułasową chatę otoczyli.
Uradnik wbiegł do chaty, a za nim się wkrada, —
Postać Żyda zuchwała lubo jeszcze blada.
I wskazując na ławę rzekł głosem pokory:
»Oto on, jasny panie! jak teraz to chory,
»A jak ludzi zabijać to on bardzo zdrowy,
»Jak ze szlachtą prowadzić konszachty i zmowy,
»Jak nosić im do lasu proch, kule i noże,
»To on bardzo rozumny — niedopuszczaj Boże! «

— »Czyś ty Ułas Prochorow? czy to ty, psia wiaro?«
Rzekł uradnik szarpnąwszy strzelca odzież starą,
A zwiesiwszy swą głowę ponad samą szyją,
Sciągnął starca przez plecy harapem jak żmiją.
Już powtóre żelazna ręka podniesiona,
Lecz wstrzymał się, odskoczył:
»Ten człowiek już konał!«

Ale Ułas Prochorów niemiał skonać jeszcze;
Zwinął się, syknął z bolu, przeszły po nim dreszcze,
I do piersi ostatnie przywołując życie,
Spytał spokojnym głosem: »Za co mię dręczycie?«
— »Nielękaj się, Ułasie! — rzekł Kozak łagodnie —
»Ale cię oskarżają o straszliwe zbrodnie:
»Żeś przechowywał w lesie całe szlachty roje,
»Żeś jéj dostarczał prochy, jadła i napoje,
»Że ty znasz jéj kryjówki, wiész dokąd ucieka, —

»A za to straszna kara buntowników czeka,
»Możesz być rozstrzelanym. Na to jedna rada:
»Wskazać kryjówki szlachty natychmiast wypada,
»Bo inaczéj.... rozumiész... łańcuchy i pletnie.«
—»I bez tego za chwilę Bóg życie mi przetnie!
»A tam dla grzesznéj duszy sąd będzie łaskawszy,
»Jeśli umrę przysięgi mojéj niezłamawszy.
»Jam przysiągł moim panom na Chrystusa rany,
»Że tu wiecznie ich sekret będzie dochowany,
»Że niewydam nikomu i za nic na świecie....
»Czyż wy dla mojéj duszy potępienia chcecie?
»Nie! chociażby przypłacić życiem albo zdrowiem,
»Ja wiém kryjówkę szlachty... ale wam niepowiém!...«

—»A co? już się zeznaje, że tu była zdrada!
»Weźcie go po swojemu, to więcéj wygada;
»Pod dobremi pletniami wyśpiewa, jak sądzę,

»Gdzie szlachta zachowała srebra, i pieniądze.
»Każcie go, ale prędko, ochłostać surowie:
»Bo jak broń Boże skona, to potém niepowie!»
Tak szeptał Kozakowi arendarz na ucho,
Ale ten groźnie krzyknął: »Milcz, niechrzczona jucho!
»Biczem wyciągać prawdę!.. nietaka godzina;
»Uszanuj, niedowiarku, zgon Chrześcijanina!
»A jeżeli zaprzysiągł — widzę po téj twarzy,
»Że się swojéj przysięgi złamać niepoważy.
»Znaj, że człowiek ochrzczony, co ma Boga w duszy,
»Zaklęcia na Chrystusa nigdy nienaruszy.
»Ty nas dobrze przywiodłeś, ale już po czasie.
»Precz, Żydzie! czekaj w sieni! bo on kona zda się!«

X.

W istocie strasznym kaszlem zakaszlał się chory.
Przestraszona Oxena wybiegła z komory,

Podniosła głowę starca, — ucichnął po chwili,
Tylko piersi chrzypiące do oddechu sili,
Coraz ciszéj i ciszéj... i wzrokiem zatoczy,
Jasną iskrą strzeliły nieprzytomne oczy,
Blask źrenic jakby ciemnym pokrył się ołowiem,
Usta tylko szeptały: »niepowiém... nie powiém!.«

Kozak rozpiął czamarkę — z piersi odsłonionéj
Zdjął swój krzyżyk miedziany w Kijowie święcony,
Włożył go w ręce starca — i rzekł głosem brata:
»Idź, duszo chrześcijańska; w pokoju ze świata!
»Poczciwie żyć musiałeś, gdy konasz tak pięknie!«
Rzekł, i u nóg Ułasa pobożnie uklęknie.
A jeszcze ręce starca krzyż święcony gniotą;
Westchnął... Oxena zgadła, że już jest sierotą,
Jęknęła długim jękiem boleśnéj rozpaczy,
I uklękła na ziemi.. zsunęła się raczéj.

I razem lecą w niebo chyżym lotem ptaka
Dusza ojca, jęk córki i pacierz Kozaka.

Oxena umarłemu rzuca się na szyję,
Kładzie rękę na sercu, może jeszcze bije,
Zaskrzepłe ręce, nogi całuje starcowi...
Kozak skończył modlitwę, »No! bywajcie zdrowi!
»Zbawienie jego duszy!« i wybiegł do sieni,
Nawet niezapłakawszy: oni oswojeni
Z widokiem różnych śmierci... ot może za chwilę
I samemu wypadnie zaniemieć w mogile!
Ot może, przejeżdzając kędy gęsta jodła,
Gwizdnie kulka nad uchem i powali z siodła.
Wszakeśmy chrześcijanie — śmierć nie żadne dziwy —
Dusza pójdzie do Boga, a Bóg miłościwy....

XI.

— »Jaśnie wielmożny panie! nie wszystko stracone!
Rzekł arendarz odwodząc Kozaka na stronę —
»Pan widział tę dziewczynę? jaka krasawica!..
»Ona kocha w téj bandzie jednego szlachcica.
»Już to ja wiém dokładnie, mnie bajka niezłudzi —
»Mnie mówił jeden Żydek, co słyszał od ludzi...
»Otoż tak... kiedy kocha... tak daj Boże zdrowie,
»Ona pójdzie do lasu ostrzedz tych panowie:
»Że tutaj był przypadek taki i owaki,
»Że chatę otoczyli wielmożne Kozaki,
»Że jéj ojciec nieżyje, że gwałt co się dzieje...
»Otoż ja pocichutku zakradnę się w knieje,
»A kiedy ona wyjdzie i ja ruszyć mogę,
»Przez błota, przez manowce, jak Pan Bóg da drogę.
»To ona kiedy sobie ani się spodziewa,

»Ja mam krédkę w kieszeni... ponaznaczam drzewa;
»Wtedy państwo Kozaki niech całą gromadą
»Pocichu i zdaleka za nami pojadą,
»Tylko niechaj niekrzyczą dla miłości Boga,
»A gdzie znaczek na drzewie, tam już pewna droga.
»Po krédce jak po nitce niech kierują jazdą,
»A tak trafim powoli na szlacheckie gniazdo;
»A wtedy, jasny panie, już wedle umowy
»Zapłacisz mi czerwońca od szlacheckiéj głowy!
»Dwadzieści jedna głowa u saméj hołoty!
»A za głowę cześnika — jeszcze dukat złoty!
»Coś spuszczę... lecz przepraszam pana uradnika,
»Ja bez trzydziestu złotych nieprzedam cześnika!
»Mnie samemu kosztuje: człek chodzi, człek pyta,
»I gorzałka wypita i głowa pobita
»A co się ja nalękam przechodząc przez puszczę?!!
»Tak mi Boże daj zdrowie, że taniéj niespuszczę!«

Kozak głośno się zaśmiał: »Ha! rozumnyś, Żydzie!
»Jak uważam, dukaty zapłacić ci przyjdzie.
»Niech będzie twoja prawda, potępieńcze z piekła!
»Ale gdyby, broń Boże! zdobycz nam uciekła,
»To cię kulką z krucicy do stu czartów poszlę!«
— »To dobrze, jasny panie, skryjmy się w zarośle,
»A ona pójdzie w lasy najdaléj w godzinę
»Jeżeli ja niezgadłem to niech marnie zginę!«

XII.

Dzionek chmurniał pod wieczor. W Czartowym-Ostrowie
Cześnik uderzył w trąbkę, towarzyszów zowie.
Pozrzucali przemokłe od deszczu odzieże,
Zdala broń nienabita, żaden jéj niestrzeże:
Bo choć się posterunki wysyłają co dnia,
Już niéma o Kozakach wieści od tygodnia,

Więc wszelkie bezpieczeństwo. Zeszli się na radę.
— »Jak chcecie! mówił Cześnik — ja do wojska jadę.
»Wszak powracać do domu niemamy już po co;
»Tutaj zdradza nas Ułas ze swoją pomocą,
»Las z liści poopadał, zasadzka niełatwa, —
»Śpieszmy, dopóki zdrada sieci pozagmatwa! «
— »Śpieszmy! — mówił pan Kurdesz — zgadzam się na wniosek. «
— »Śpieszmy! « powtórzył za nim pan chorąży Wrzosek.
— »Śpieszmy! « krzyknęła szlachta —
I w téj saméj chwili
Oxena leszczynowe gałęzie uchyli.
W oczach jéj dzika rozpacz, w twarzy bladość sina,
Idzie niepewną stopą, chwieje się, ugina,
I do kolan cześnika upada bez siły.
— »Uciekajcie, panowie! gdy wam Pan Bóg miły!
»Kozacy byli u nas — grozili, pytali;

»Ojciec już trupem leży — godzina... nie daléj
»Skonał... któż go ubierze?... a któż go pochowa?..
»Uciekajcie, panowie!... biednaż moja głowa!...

XIII.

Ledwie słów tych domawia — oto wkrąg dąbrowy
Odezwały się krzyki, zagrzmiały podkowy,
Błysnęły ostrzem spisy — Kozactwo napada...
— »*Karkuluję*, że zdrada! mówiłem, że zdrada!
»Mówiłem, ufać chłopom że to sprawa djabla!
»Gdzież moja prochownica? a gdzież moja szabla?..«
Tymczasem sto wystrzałów nad głową gruchnęło,
Szlachta szuka oręża, — ale trudne dzieło:
Bo strzelby nienabite, bo szable w nieładzie...
Kula trafia w pierś Wrzoska i trupem go kładzie.
Pan komornik broń nabił zmierzył się na kłodzie,

Chciał palnąć, lecz go spisa tak w plecy ubodzie,
Że aż drzewce grubego złamało się kija, —
Pan komornik zajęczał: »Jezus i Maryja!«
W tém Jan z Oczeretowa odważny a młody
Chciał mu bieżeć na pomoc — przez chrósty i kłody
Darł się co stało siły, ale nim pośpieszył,
Już cios drugi i trzeci komornika przeszył.
I w tejże saméj chwili jakby węże z góry
Ponad głową młodzieńca zaświstały sznury;
Nim zdołał poodwijać wszystkie skręty żwawe,
Już go krzepko związawszy rzucono na trawę.
Obok jego przeklina załośnemi tony
Kopytami końskiemi Walenty, stłoczony.
Reszta szlachty w rozsypce. Sam cześnik Belina
Plecmi wparłszy się w drzewo bitwę rozpoczyna,
Dwóch Kozaków ze strzelby dwururnéj powali,
Lecz do niego przypadli, strzelbę odebrali,

A on złamany pałasz ściskając we dłoni
Trzem barczystym Kozakom jak Samson się broni,
Za cios każdemu ciosem sprawiedliwym odda,
Znać, że będzie zwalczonym, ale się niepodda.

Kozacy niezgadują, kto im bitwę przerwie:
Pan Baltazar Kapota, za panem w rezerwie,
Przyczaił się w leszczynę... odprowadził kurki,
I już gotów wybuchnąć wystrzałem z dwórurki,
Zatrzymał się i lufę na gałęzi kładnie,
I okiem *karkuluje* gdzie wymierzyć snadnie; —
Wreszcie *wykarkulował*... nie w prawo, lecz w lewo...
Tam klęczała Oxena oparta o drzewo:
Tyle dziś miała wrażeń, tak jéj serce darto,
Że pogląda na walkę źrenicą otwartą;
Twarz jéj zżółkła, sczerniała, — już biedne niebożę
Ani się zarumienić, ni zblednąć niemoże;

A gdy Jaśka-sokoła wiązano we sznury,
Tylko uśmiéch w jéj twarzy odbił się ponury,
Lecz ani drgnęły oczy, ani łzy jéj płyną.
Dójrzał ją pan Kapota: »A tuś mi, gadzino!
»Wprowadziłaś Kozaków na drogę najprościéj!
»Otoż jest, panie Janie, cel twojéj miłości!
»Dobrze *skarkulowałaś* przedać nasze dusze!
»Ja zginę, ale piérwiéj zgubić zdrajcę muszę!«
Skończył — i jednym palcem pociągnął dwa kurki,
Huknęły dwa naboje z dwóch lufek dwururki:
Dziéwczę martwe upadło — krwi bryzgnęła struga,
Jedna z pięknego czoła, a z pod serca druga...
Pan Baltazar ukryty w leszczynowéj ciszy,
Za dymem nic niewidzi, za hukiem niesłyszy;
Lecz gdy opadły dymy; gdy ujrzał że kona:
»Panie cześniku! — rzecze — już klęska zemszczona!«
Jeszcze nieskończył wołać — gdy Kozacka pika

Już mu piersi rozbija, do serca przenika...
Ryknął straszliwym jękiem, pod włócznią się miota,
I skonał krwią zalany Baltazar Kapota.

Jeszcze chwilę bój kipiał — lecz już nietak srodze,
Szlachta widząc zabite lub wzięte swe wodze
Straciła całkiem serce — pozbyła otuchy!
Jeszcze wystrzał niekiedy rozejdzie się głuchy,
Ktoś krzyknie rozpaczliwie — a tych krzyków krocie
Powtarza leśne echo, albo szatan w błocie,
I wespół z jęczącemi — jęczy puszcza naga...
Ale *Ura*! Kozacze te jęki przemaga!
Dońcy pieśń zaśpiewali na znak assawuły,
Kruki poczęły krakać — bo już żer poczuły,
W powietrzu czarne stado krąży gdyby fala.

A już tętent podkowy coraz się oddala,
Śpiewanie coraz głuchsze, jęk coraz ucicha:—

Tylko sosna jak płaczka po umarłych wzdycha,
Tylko dąb kilku liśćmi żółtemi poruszy,
Jak gdyby mówił pacierz za spokój ich duszy.

Dzięki ci, stary dębie, za pacierz, za hymny!
Xiądz nieprzyjdzie poświęcić ich mogiły zimnéj,
Psalm za nich chyba w niebie odmówią anieli:
»*Błogosławieni zmarli co w Panu posnęli*!

Epilog.

Tak się Czartowy Ostrów krwią szlachecką zalał;
Poszedł w ciężką niewolę kto w bitwie ocalał:
I tych, co pełném życiem kipieli dziś rano,
Jednych wzięto na sznury, drugich zakopano.
A żywi prawie wszyscy uniknęli kaźni:
CESARZ kazał zapomnieć starych nieprzyjaźni, —
A mogiła umarłych już zarosła sosną,
Na Czartowym Ostrowie wielkie dęby rosną,
Popiół pański i chłopski pomięszał się społem
I czerwona kalina żyje tym popiołem.

Nad jednym kwiat wyrasta lub ziemia mchem siwa,
Nad drugiego zwłokami szeleści pokrzywa.

A nad całym Ostrowem, nad gałęźmi drzewa
Jeszcze stare podanie dotąd się rozwiewa:
Ażeby na zebraniu młodzieży ochoczém
Na długiéj wieczornicy — było gwarzyć o czém.
A gdy młode dziewczęta ciekawość połechce,
Zapłaczą nad Oxeną — i spać się odechce, —
I długa wieczornica w gawędzie się zmniejsza,
I nitka będzie dłuższa i przędza równiejsza.

KONIEC.

BIBLIOTEKA NARODOWA

OGŁOSZENIE LITERACKIE.

Zakład Księgarski T. Glücksberga, ma honor zawiadomić Szanowną Publiczność, że po kilku latach przerwy, przystępuje do dalszego ciągu publikacyi *Dziejów literatury* Władysława Syrokomli. Zwłoka pochodząca z przyczyn, powiększéj części niezależnych ani od autora ani od wydawcy, niezostała bez korzyści dla samego dzieła. W tym przeciągu czasu, autor zasięgnął o swéj pracy zdanie światłéj krytyki i uzbierał nowe materjały tak, iż dzięki okolicznościom przyjaźniejszym dzisiaj dla historycznego sądu, będzie mógł nietylko dokończyć swe opowiadanie o literaturze czasów przeszłych, lecz skupić w jedną całość rozpierzchłe gałęzie naszego nowożytnego piśmiennictwa, tak z rozmaitych prowincyi dawnéj Polski, jako i zamiast obcych, gdzie się książki polskie drukują. Zeszyt I. Tomu III. już się znajduje pod prassą, — reszta dzieła, w ciągu następnego 1858 roku, ukaże się na widok publiczny.

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
DOM
D Nº 277937

D. K. "Rutyk W.
Kraków
27. 10. 59 r.

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
549042